JAN STANISŁAW WOJCIECHOWSKI: Oddawany do Państwa oceny kolejny numer *Aspiracji* zawiera *novum*, które chcielibyśmy przekształcić w stałą praktykę. Pragniemy mianowicie publikować specjalnie dla nas robione tłumaczenia tekstów, które odegrały bądź właśnie odgrywają ważną rolę w światowym dyskursie na temat sztuki współczesnej. Złożyło się szczęśliwie, że na początek idą teksty Viléma Flussera (1920–1991), filozofa, który opublikował wiele ważnych prac dotyczących różnych dziedzin kultury wizualnej: mediów, fotografii i architektury. Przede wszystkim zapisał się w historii jako filozof komunikacji i dialogu między obrazem i słowem. Nie trzeba chyba wyjaśniać, dlaczego problem wzajemnego „przekładu" słowa i obrazu jest kwestią istotną dla naszego kwartalnika. Publikowany w tym numerze tekst *Papieże* dotyczy zagadnienia szczególnie dla nas ważnego: relacji między sztuką i krytyką artystyczną. To w samej rzeczy wiodący motyw pracy redaktorów *Aspiracji*. Śmiem twierdzić, że staje się także istotnym motywem dydaktyki na naszej uczelni. O ile powojenny okres, zwłaszcza lata 60. XX wieku, przyniosły impuls rozwojowy i prężne nowe pracownie, oparte na sojuszu tradycyjnych wydziałów sztuki i wydziałów projektowych, o tyle w ostatnich ponad 30 latach istnienia warszawska ASP zawdzięcza rozwój budowie produktywnych relacji między „starymi" i nowymi mediami. Szanowne Koleżanki i Koledzy, jeśli uczelnia chce pójść do przodu, w nadchodzących latach trzeba – podążając tropem idei Flussera – budować mosty między obrazem i słowem!

W ogóle budowanie mostów stało się ważnym zadaniem w dzisiejszym świecie, w którym nie ma dialogu, przeważa natomiast stan wojennych narracji. W świecie rządzonym przez narracje sztuka urasta do roli broni strategicznej. Mosty w tym kontekście można rozumieć dwojako. Mogą służyć jako środek niezbędnych przepraw w zwycięskich marszach na teren wroga, jako swoiste mosty pontonowe. W *Aspiracjach* wolimy myśleć o mostach jako łącznikach ponad przepastnymi szczelinami i rozwarstwieniami. Uważamy to za tak ważną pracę, że obaj naczelni redaktorzy zaangażowali się osobiście w rozmowy z Katarzyną Kasią i Piotrem Bernatowiczem – znanymi postaciami współczesnych polityk publicznych, uchodzącymi za przedstawicieli różnych „armii" w wojnach narracji kulturowych. Polecam Państwu publikowany w tym numerze wynik naszej pracy w nadziei, że umacniamy w ten sposób bliską nam ideę produktywnej różnorodności i dialogu. ✖

SŁAWOMIR MARZEC: Tematem bieżącego numeru *Aspiracji* są relacje polityki i sztuki. Zagadnienie ryzykowne, zważywszy na radykalną polaryzację naszej przestrzeni publicznej, a nawet więcej – jej narastającą redukcję do samych skrajności. Do wrogości. Oczywiście, z jednoczesnym wołaniem o pluralizm, otwartość, równość, wolność... Moim skromnym zdaniem największa brednia i ściema naszych czasów brzmi: wszystko jest polityką. Bo skoro tak, to można bez skrupułów wszystko zamieniać w narzędzie i pole walki. Można odrzucać wszelkie zasady, normy w imię przyszłego całkowitego zwycięstwa w naszej „wojnie o pokój". I wpisywać w to sztukę. W moim przekonaniu jest wprost przeciwnie: sztuka jest praktyką antyredukcjonistyczną, stanowi wyjątkowy fenomen dający szansę wykraczania poza bezpośrednią reaktywność. Daje szansę na pogłębione doświadczenie i refleksję, niemożliwe w codzienności. Trwonienie tego na rzecz usprawniania potoczności uważam za z gruntu chybione, ze względu choćby na zerową skuteczność tzw. sztuki krytycznej (może zdolnej tylko mobilizować neofundamentalistów).

Warto przy tym mieć na uwadze również przemiany samej polityki. Najkrócej rzecz ujmując: klasyczne poszukiwanie dobra wspólnego zastąpiliśmy poszukiwaniem kompromisu, następnie konsensusu (w ramach akceptowalnych, czyli przez kogoś wyselekcjonowanych dyskursów), a obecnie performatywnym agonem. W tym ostatnim rozstrzygająca i sprawcza jest siła sugestii, siła obezwładniania przeciwników. A w praktyce realne staje się to, co potrafi wzbudzić hejt wobec oponentów. Dodajmy do tego, że racjonalna dyskusja o faktach zastąpiona została terrorem opinii. A jej uczestnicy nie tyle posiadają jakieś poglądy, ile nierzadko je tylko koniunkturalnie i etykietowo symulują. Twierdzę ponadto, że dzisiaj właściwie nie ma u nas sporów ideowych, tylko pseudopolityczne autopromocje. Wystarczy przyjrzeć się naszym politykom – mimo wszelkich różnic łączy ich wspólna mantra: *nasi przeciwnicy są jeszcze gorsi*.

W naszej, podobno powszechnie umiłowanej demokracji nikt już nie chce nikogo eliminować, kolonizować czy pacyfikować. Wszyscy natomiast chcą innych reedukować. Zygmunt Bauman twierdził, że antidotum na dzisiejsze polityczne grzęzawiska są dwie koncepcje: nieformalnej współpracy Richarda Sennetta i niezakłóconej komunikacji Jürgena Habermasa. W intencji pierwszego myśliciela chodzi o imperatyw wszelkiej aktualnie możliwej współpracy na każdym polu. Także poza instytucjami i poza obowiązującymi procedurami. I, co najważniejsze: bez żadnych warunków wstępnych. Podobnie według niezakłóconej komunikacji Habermasa – akceptowalne powinny być wszelkie formy dialogu i wszelkie okazje racjonalizowania naszego życia. Każdy ma prawo wyrazić swój pogląd i spodziewać się zrozumienia oraz minimum szacunku. A jak jest w praktyce, zwłaszcza na rodzimym gruncie? Wojna bez reguł, gdzie jedynym celem jest zniszczenie przeciwnika, bo... „potem" będzie lepiej. Nawet niektórzy artyści uważają, że karierę robi się dzięki rugowaniu konkurencji. Czyli: MY mamy prawo do wolności

słowa, ONI mają obowiązek tolerancji i otwartości, a każdy, kto myśli inaczej, jest albo faszystą, albo patologią. Nawet zadeklarowani „bojownicy o wolność i tolerancję” w praktyce oferują jedynie eliminowanie inaczej myślących (tzw. tolerancja represywna, *no-platforming etc.*). Albo ich przymusową reedukację w imię sprecyzowanych przez siebie kryteriów światowości i aktualności. Konserwatyści natomiast nieodmiennie chcą wszystkich zbawiać. Nie pomni, że bram raju raczej i tak nie dostąpią ci, którzy nie czynili zła tylko dlatego, że im to uniemożliwiono. Można się też zapewne zastanawiać, czy nie zahacza o herezję pelagiańską nie tylko wymyślanie nowych postaci dobra, ale nawet jego formalizacja czy prawna kodyfikacja. Bo zmuszanie innych, by sprawowali dobro za nas i na swój koszt, już na pewno trąci siarką.

Sztuka staje się coraz częściej bezpośrednią pochodną politycznych interesów. Czy tak być musi? Czy nie potrafimy obronić wolności sztuki? Oczywiście, frazes „wszystko jest polityką” robi furorę, bo nieprawdopodobnie ułatwia życie. Ponadto zapewnia patetyczne i wzniosłe uzasadnienie naszych zamiłowań i mniemań. Bo skoro np. lubię obżerać się słodyczami, każdy, kto będzie mnie napominał, jest wrogiem wolności. Choć fakt, że jestem niewolnikiem własnego apetytu będzie już poza dyskusją. Niestety, nieświadomość nie czyni nas wolnymi. Dotyczy to także spontaniczności, czyli – jak twierdzi nauka – najprostszych schematyzmów zamieniających nas w kamerdynerów naszych instynktów, płciowości oraz potoczności.

Jakie wyjście z tej sytuacji? Poprosiliśmy o rozmowę na ten temat dwie znane postacie z przeciwnych obozów: Katarzynę Kasię i Piotra Bernatowicza. Oczywiście, jak wszyscy od dawna wiemy, jakiejś nadziei można by upatrywać w dążeniu do racjonalności i minimum wzajemnego szacunku. Czy to jednak przekonuje młodych ludzi, którym niekiedy wprost wmawia się, że idą na akademię nie po to, aby się uczyć, lecz aby walczyć o władzę?... Zacznijmy więc może od tego, że nie wszystko jest polityką. I że życia społecznego wcale nie trzeba utożsamiać z walką. ✖

KATARZYNA KASIA

JAN STANISŁAW WOJCIECHOWSKI

ROZMOWA

ROZMOWA
ROZMOWA

J.S.W.: Warszawska ASP jest dziś w kleszczach determinacji płynących z przyjętych przez nią regulacji ustawowych oraz ogólniejszych – społeczno-kulturowych. Te pierwsze kierują w stronę prostych odruchów obronnych, zmuszają do porządkowania uczelnianej substancji organizacyjnej i finansowej. Sprowadza się to do działań dyscyplinujących, wręcz do „furii ewaluacyjnej”. Rosną napięcia spowodowane brakiem bądź arbitralnością kryteriów ocen. Mamy też do czynienia z nadaktywnością „ekonomistów” przeliczających zasoby ludzkie na pieniądze z państwowych dotacji. To typowe gry zarządcze, implantowane do Polski po 1989 roku. Nie trzeba chyba dodawać, że nie cieszą się poparciem ludzi nauki, a co dopiero artystów. Wyższe uczelnie (w tym